Ner 21.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 7 października 1843. **Rok czwarty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 22 września 1843.

Kiedy ciekawe oko z trudnością wypatruje między barwami jesiennemi ostatki zieloności wiosennej i ledwie w uboczach ogrodu uszczknąć można kilka kwiatów jakiej takiej jeszcze świeżości, nie łatwiej jest i zbieraczowi wzorów modnych wynaleźć między dogorywającemi nowościami tej pory jedną lub drugą osobliwość któraby zająć mogła świat modny. Moda sympatyzuje w tej mierze z naturą: tak w jednej jako i w drugiej odkryta tu owdzie świeżość nabiera tem większego odblasku i zajmuje tem potężniej, że wszystko wkoło niej powiędło.

To małe zboczenie niechaj poprzedza osobliwości na które zwracamy dziś uwagę. Zboczenia znachodzim w całej przyrodzie, muszą więc one mieć swój wdzięk i pożytek.

Stroje damskie. Podwłośnik czyli penioar służy zwykle dzisiejszej elegantce w poranki do przyjmowania poufniejszych odwidzin i jako strój od domu, ograniczając się sztachecikami dziedzińca i żywopłotem ogrodu. Forma jego najnowsza jest następująca. Stanik długi u ramion nieco buchasty, rękawy prawie pływające, spodnica długa, bardzo szeroka i otwarta; lecz co najwięcej zwraca uwagi i co stanowi różnicę od dawnych penioarów jest ten szczegół, że według najnowszej formy nie ściąga się na ukrytą tasiemkę, lecz ma przepaskę z wierzchu; zresztą od góry do dołu spadają fałdy rzęsne z przodu i z tyłu. U góry spadają one od ramion ukośnie aż do przepaski, która się zapina na prościutką agrafę. Suknia u spodu z półwysokim stanikiem jest grodenaplowa, koloru różowego lub pomarańczowego; podobnaż przepaska dość długa okrąża kibić i spada niedbale z przodu sukni. Za ozdobę zwyczajną takiego penioaru służy girlanda albo festony rozmaitego rodzaju. Do tego ubioru przypada najlepiej czypeczek mały korunkowy lub muszlinowy ozdobiony wstążką gazową lub alensońską korunką.

Do stroju najulubieńszego tutejszych amazonek należy kaftanik z materii jedwabnej lub z axamitu, z rękawami amadisowemi i przypłaszczonemi klapami, mogącemi się zapinać aż pod szyję. Kołnierzyk leżący, bez krawatki; spodnica w jasnych i odbijających kolorach; tak u kaftanika jako i spodnicy eleganckie guziczki i pasamonowe pętliczki. Przepaska w takim stroju zależy od woli, i wiele kobiet wcale jej nie nosi, lecz są i takie które przywiązują wielką wagę do tej ozdóbki. W ostatnim razie jest ona z materii jedwabnej jasnego koloru i zapina się na małą klamerkę. Noszą też kaftaniki nankinowe z białą spodnicą lub też spodnicę z indijskiego nankinu z białym, pikowym kaftanikiem. Wszystko to jest bardzo ładniutkie, bardzo wygodne, a razem eleganckie.

Najmodniejsze kapelusze są *à la Montpensier*, formy okrągłej, z wielkiemi kresami, kastrowe, koloru popielatego, ozdobione takiemże piórem długiem, szerokiem i pływającem. Nawiasowo zrobimy tu uwagę, że pióra użyte zamiast kitek lub bukietów z trzech strusich piór nabierają wielkiej wziętości i służą za wyłączną ozdobę kapeluszów damskich.

Rycina przedstawia: suknię z marseliny u dołu z falbaną, stanik wysoki, gładki, rańtuch z barežu, kapelusz jedwabny korunką obszyty. Druga figura przedstawia suknię barežową, trzema szlarkami obszytą, stanik po szyję, gładki; kapelusz jedwabny. Trzecia figura: szlafroczek z pruneli jedwabnej w przodzie axamitką ozdobiony, staniczek z rabatami i guziczkami złotemi. Kapelusz jedwabny ubrany kwiatami.

Stroje męskie. Materie w kolorach mieszanych są najmodniejsze czyto na twinę czy na spodnie lub kamizelki. Tak kaszmir w paski lub axamit kratkowany, jest najposzukiwańszą materią na kamizelki; spodnie zaś tosamo noszą z materij kratkowanych. Co do kroju najmodniejszego sukni widzieć go można na naszych rycinach.

Rycina przedstawia: twinę watowaną jako najnowszy ubior zimowy, tudzież surdut z szerokiemi klapami zapinany na dwa rzędy guzików.

PRZEZ ULICĘ.

Ciąg dalszy.]

3.

Po obiedzie wykwintnym, o którym wartoby wspomnieć choć słów kilka, po obiedzie prawdziwie kawalerskim, bo na nim jedzono dobrze, jeszcze lepiej pito, nastąpiła oczywiście kawa likworami towarzyszona, a po kawie lulki i cygara, przytym pogadanka jak zwyczajnie między mężczyznami: nieco o koniach, nieco o kobietach, troche o teatrze, więcej o kulisach; aż nareszcie wniesiono zielony stolik. Nie jedne w towarzystwie zaśmiało się oko wyrazem czarodziejskiej nadziei. D* rzucił okiem niecierpliwości i żądzy na zielone sukno, a wzrok jego roziskrzony winem którego nie szczędził mu gospodarz łyskał wyrazem mniej może szlachetnym jak zwykle, ale więcej ognistym.

— Może wiska zrobimy? zapytał gospodarz północnego grafa, który prawdziwie jak mruk siedział przez cały obiad: jadł dosyć, pił jeszcze więcej; ale ani poczerwieniał, ani się rozweselił.

— Nie gram wiska! to nudna gra!

— Może lombra?

— Nie gram lombra! to jeszcze nudniejsza!

— Pan hrabia zapewne amator gier hazardowych? ja wprawdzie nie grywam, ale panowie, pan hrabia M*, pan baron M* grywają, więc....

— Ja lubię hazard! ale gra mała nudzi mnie.

— Zapewne pan hrabia do gier rossyjskich przyzwyczajony, i ci panowie dosyć wysoko grać zwykli; a do najbliższego sobie D* szepnał: jeżeli będzie gruba gra, to darujesz, ale dziś... niemógłbym!...

— Tak! tak! przeciągłym odpowiedział głosem, a zgrzytnął zębami, aż przecięte upadło cygaro na ziemię.

— Azatym, ciągnął spokojnie O**, dalej! faraona? kwindecza? diabełka?...

— Diabła!

— Są karty! niech panowie chętni gry ciągną o miejsca.

— Ha! ha! zaśmiał się graf S**; trzeba zaś wiedzieć że często uśmiechał się, ale śmiech ten był szczególnie zimny i szyderski; był w nim rodzaj przykrego gwizdania. »Ja nie gram tylko we dwoch! tym sposobem lepiej grę uważać mogę.«

— Największą grę robi baron M*!...

W czasie tej rozmowy prócz na pozór spokojnego gospodarza, ciekawe były spojrzenia drugich jakiemi połykali całego grafa moskiewskiego; D* stał nieporuszony z oczami w O** utkwionemi; a hrabia M* spokojnie na sofie usadowiony niewiem nawet czy uważał co mówią, tak był zaprzątniony lulką i trawieniem swobodnem.

— Na ostatnie zagadnienie spojrzał S* na barona przenikliwym wzrokiem, który spoczywał pod wielkiemi śnieżnemi brwiami, i barwą oka niepewną, jak węgiel w ciemnej pieczarze popiołem zasypany, zaśmiał się, i głosem trąby, albo organów olbrzymich wyrzekł z zaprzeczającem kiwnieniem głowy: Niech panowie się bawią!...

— Ale dla czegoż? grzecznie mówił dalej gospodarz, choć niecierpliwą nogą gniótł posadzkę z całej siły; może hrabia chce partnera na los wybrać?

— Los będzie w diable! gracza zaś ja zwykł sam wybierać!... i obejrzawszy się po stojących z wyrazem wzywającej niegrzeczności; jakby woły lub konie na targu oglądał; dodał: grać będę z tym panem, a palcem wskazał pana Józefa.

— Zemną?... radość i smutek łysnęły przez wyniosłe czoło jego.

— Niech panowie siadają! zagadł gospodarz; a zanim przygotowano karty, porwał za rękę pana Józefa, i szepnął mu do ucha: »Uważaj! zlituj się! nie zapalaj się! oto masz pieniądze, a czasami przecie spoglądaj na mnie!... A my panowie wiseczka.... a może wolicie diabełka.

Diabełka! wyrzekł M*, między ziewnieniem a kłębem dymu. Urządzono stolik w drugim pokoju, i zasiedli wszyscy prócz gospodarza, który cichym krokiem przechadzał się z pokoju do pokoju; a mimochodem spoglądał czasem przez ulicę ku oknu z otwartą żaluzią.

Milczenie panuje głębokie; rzadko usłyszeć można skąpe graczów słowa; jedynym głosem jest dzwonienie pieniędzy, i szelest poruszanych banknotów. Najciszej przy stoliku dwoch graczów! Nie mógł prawdziwie graf S* lepszego dobrać gracza, aby się sam dobitniej mógł wydać; bo nie dosyć że pan Józef ładny mężczyzna, graf zaś szkaradnie brzydki,

ale szczegółowo rozebrawszy obydwoch panuje między nimi rażąca sprzeczność: jakkolwiek D* wysoki, graf S* przewyższa go o całą głowę, a chudemi, kościstemi, niestosownemi do siebie członkami żartować się zdaje z harmonijnie zaokrąglonej postawy pana Józefa. Na długiej, żyrafiej szyi stoi głowa o tyle długa, o ile partnera głowa jest szeroka; a kątów i zmarszczków ma tak wiele, że łysiną ogromną świecąc, śnieżnym puchem skąpych włosów, gęstych brwi i rzęsistych wąsów obsypana, stercząca nosem olbrzymim, w bezzębną pieczarę szeroko rozwartych ust strojna, wydaje się prawdziwie jakby ułam skały raczej, niżeli twarz człowiecza: wyraz tylko oczu niekiedy strzelających, i uśmiech złowrogi przykuty do ust dowodzą, że ta skała żyje, ale życiem zarażonem i zaraźliwem. Różne były gry przemiany, przy jednym jak i przy drugim stole; obojętniejsi z początku gracze w coraz większę wpadają zaciekłość, i zapomnienie o wszystkiem co nie jest grą.... Szczęście gry, to kapryśne, niewidome, tylko modłami i przekleństwy czczone bóstwo, ulatywało ponad oba stoły i przesypywało złoto kolejnie z dłoni do dłoni; nagle zmieniła się postać rzeczy: przy jednym stole zaczął ciągle przegrywać hrabia M*, a przy drugim dwaj zapaśnicy walczą z ciągle niezwalczoną pulą, która za każdym rzutem kart rośnie bez miary. — Oczy O** uporczywie ścigają wszelkie ruchy złota i banknotów; chciałyby wyrazem zaciekłej chciwości wczarować je w ręce D*, którego twarz, przy grze nawet, cechy szlachetności nie postradała: zdaje się nim powodować czystsza część tej namiętności, gdy tymczasem na drugich twarzach, widoczne jej brudne fusy. Z twarzy grafa S*, nic nie wyczytasz; jak automat do gry wyrobiony rzuca, tasuje, zbiera karty, sypie złotem, bez głosu i wyrazu; chyba czasem łyśnie wzrokiem, gwiźnie uśmiechem, tak przenikliwym, aż mimowolnie zadrzy przeciwnik jego.

Po dniu gorącym sierpniowym chłodniejszy powiał wiatr południowy; przy zamkniętych firankach otworzono okna, i wietrzyk świeży, porwawszy tu i owdzie w przelocie woń z ogrodów po oknach rozstawionych wleciał do pokoju: nadaremnie muskał twarze graczów, świeżością a wonią łagodził ciężki zapach cygarów i lulek; nie zrobił on na graczach wrażenia; nie zdołał nawet zwiać z twarzy tego potu natężenia którym błyszczą.

I milczenie trwa ciągle; jedynym głosem krótkie graczów wykrzykniki, dzwonienie złota i szelest banknotów.... Oczy graczów, jakby oczy owych wężów południa, urokiem żądnych spojrzeń chciałyby wszystkie przyciągnąć złoto! Od czasu do czasu odezwie się jednostajnie piskliwy głos hrabiego M*, jakby głos czajki po nad ciszę ulatujący stepowę!...

I z łona cichości ozwał się głos muzyki powolny z początku, coraz potym głośniejszy, coraz donośniejszy; rozchodzi się w tysiącznych przegjęciach harmonijnych. Kapryśny wiaterek to głośniejsze, to cichsze przynosi tony; darmo dźwiękiem przemawia do uszu, wonią i świeżością ożywia i czaruje! darmo!... gracze mają tylko uszy dla wdzięku złota; wszystkiemi zmysłami zdają się smakować złoto w puli skupione, do której jak do fortecy niedobytej strzelają krwią drgającą po żyłach, chciwością oczów, żądzą wytężonych palców, namiętnością duszy!...

I coraz cichszy gwar dochodzi z ulicy; nikną tony muzyczne; nową świeżością wieczorną, nową wonią po przedmiejskich ogrodach skradzioną przesiąkły wietrzyk coraz silniej porusza czerwonemi firankami, coraz żywszym podmuchuje powiewem po twarzach graczów; swawolny igra dymem, który wznosząc się z lulek i cygarów dziwacznemi falami sinych obłoczków przesuwa się ponad graczów głowę!... darmo!... łyszczą potem natężone twarze, strzelają oczy, drgają palce: a cichość coraz większa, oddechu prawie brakuje graczom, bo pula na obu stolikach rośnie coraz większa w złoto coraz czarowniejsze!...

Już zmrok zapada! nie dla graczów! widzialne dla nich karty i złoto!... to ich świat! to ich życie!... to ich przyszłość!... I w tej cichej, swobodnej, marzeń roje rodzącej zmroku chwili ozwał się głos niedaleki głos dźwięczny niewieści; przez okno snać wybiegł otwarte, kołysze się na skrzydłach wietrzyka, i wlatuje do pokoju harmonijny, jakby arfy eolskiej brzmienie, jakby spiew aniołów z góry; dźwiękiem czystym niewinnym i tęsknym razem darmo chce oczyścić pokój zapowietrzony brudną namiętnością; darmo! ucieka nazad, i znowu wraca!... coraz cichszy jakby spiew słowika, jak strumyka mruczenie, szmer liścia!... to głośniejszy, jak dźwięk dzwónka samotnej kaplicy, echem gór wtórowany!... darmo!... nieporuszeni grają! w puli ucho, oko, dusza!... Głos niewieści spiewa:

Wypłyń, wypłyń zza obłoku!...

Dla graczów płynie pieniądz żółtą falą po pieniącej się złotem puli!...

I tęskny głos spiewającem zadzwonił wołaniem.

Ja kochanka wzywam ciebie!...

Wniesione w tej chwili światła mocniejsze zrobiły na graczach wrażenie nad spiew i myśl tęsknej pieśni!...

Ja kochanka wzywam ciebie!...

*

Powtórzył głos tęsknej i smutnej!... ból mocny, rospacz nawet czuć w drżącym głosie.

Zadrżał jeden pan Józef!... dostrzegł zapewne to drżenie graf S**, i łysnął okiem szyderstwo!... gwiznął uśmiechem szyderstwo!... To zawzięta spiewaczka! mruknął.

A pan Józef D*, machinalnie tasując karty odbiegł myślą daleko za zielony stolik, i zamarzył!...

Ogród wonny, wieczór wiosenny w cichem wioski ustroniu, dziewicę czarnookę w gołębiej szacie, i z gołębią duszą!... Dziewica spiewa głosem natchnionym, w którym drży dźwięk pierwszego uczucia.

Ja kochanka wzywam ciebie!

Mnie? zapytał młodzieniec, w którego łonie wrzały wszystkie rozbudzone namiętności!...

Ciebie! dźwięczniejszym od spiewu głosem odrzekła dziewczyna!...

Młodzieniec w niebo spojrzał... raj uczuł w duszy!...

— Banko! zawołał głuchym głosem graf S**. Wionęło pana Józefa marzenie przed strasznej rzeczywistości bojaźnią.

Darmo głosowi towarzyszą dźwięczne fortepianu klawisze czarującemi tony!... pula się podwoiła; pan Józef drży żądzą i drży bojaźnią, nadzieją i rospaczą szarpany na przemiany. W czasie spiewu znikł O**; firanką zasłonięty słuchał spiewu; spojrzał przez ulicę ku odsłoniętemu oknu, i podobny rannemu wystąpił wyraz na twarz jego; usta obrzydliwem obwisły skrzywieniem, czy całować, czy smoktać jaki przysmaczek żądne.

Uciekajmy z zatrutego pokoju; przez ulicę tylko, a odetchniemy choć na chwilę w cichem, zmrokiem, muzyką i poezią pięknej kobiety napełnionem ustroniu.

4.

W pokoju ubranym skromnie raczej niżeli wytwornie, w którym miarkując po niektórych sprzętach kłócących się z sobą różnorodnem pochodzeniem, brak zbytku pochodzący widocznie z niemożności, siedzi przed fortepianem kobieta, możnaby powiedzieć dziewica, tak czysto, tak harmonijnie zaokrąglone rysy twarzy białej, ocienionej więcej jasnemi puklami włosów, i w dół spuszczonemi rzęsami, niżeli zmrokiem który jednakże coraz wieczerniejszych nabiera barw, gdyby nie rys jakiś głębiej koło ust wciśnięty dawał poznawać kobietę. Jestto rys pierwszem uczuciem dziewicy wyciśnięty, a pierwszym kobiety cierpieniem wkopany na wieki; jest tam koniec marzeń, i początek życia istotnego; nie smutek jeszcze, ale i nie uśmiech!... Jedną ręką przyciskała jeszcze klawisze, których ostatnie brzmienie drżało w pokoju, druga bezwładnie spoczywała na śnieżnej sukni; twarzą zaś i okiem pogląda ku znanemu już nam oknu. Oczy czarne błyszczące może łzą tajemną wypatrzyła, jakby się dziwiła, że na tak czarujące wezwanie kochanki oczekiwany dotąd nie przybył!... Kto wie jakichto myśli, jakichto uczuć w głębi serca chowanych był wypływem ten spiew tęskny który słyszeliśmy.

Długa byłato chwila!... gdy wtem zlekka otworzyły się drzwi, usłyszało ten łoskot jakkolwiek cichy ucho równie natężone; i wszedł pan O**, wytwornie ufrakowany, odświeżony na nowo, a cały wonięjący jak sklep galanterijny: z uśmiechem który pan O** całą siłą mocnej woli swojej wyczarował z dawno upłynionych lat młodszych.

Skoczyła kobieta z siedzenia swego, ale nadto była jeszcze młoda, nadto niedoświadczona, aby uśmiech którym przywitała niespodziewanego gościa wydał się zupełnie szczery. Stare O** doświadczenie zrozumiało to przywitanie, a chociaż rzucone przelotne spojrzenie na zwierciadło, dzięki zmrokowi, zadowolniło go niepomału, ze skromnością dziwną w tym wieku rzekł głosem, któremu starał się dodawać wyrazistości uczuciowej.

— Nie mnie spodziewałaś się pani!... po chwili milczenia mówił dalej. Jeżeli spiewnem wołaniem wezwany nie przybył, czyliż szczery przyjaciel mniej pożądany?

— Tak źle nie myśl pan o mnie; umiem, umiem ja cenić przyjaźń, której winnam tyle w coraz coraz częstszej samotności mojej... i wdzięczność....

— Przyjaźń nie jest wymagająca, a wdzięczność to lichwa: tej przyjaźń prawdziwa nie żąda, dodał z wrastającym zapałem, któremu jakby ulegając mimowolnie, przycisnął z uszanowaniem witającą rękę.... Na samotność zdajesz się skarżyć pani? w stolicy, w śród zabaw, w szczęśliwym wieku pani!... trzeba chcieć koniecznie samotności!...

— Czy mniemasz pan, że niemożna być samotnem wśród najliczniejszego towarzystwa? zabawa nie wkoło nas zdaje się, ale w nas samych... we własnem usposobieniu....

— Wielka prawda! temuto usposobieniu, które mnie wypędziło z pośrodku towarzystwa zebranego u mnie, winien jestem tę przyjemną chwilę którą mi pani z sobą spędzić pozwolisz....

— Pan nie czekasz na niego! z półroztargnieniem rzekła....

— Więc lepiej nie mieć na kogo czekać, nie mieć

istoty którejby było miło przebaczyć i długie daremne oczekiwanie....

— Pan ma towarzystwo u siebie jak zwykle... liczne zapewne?... zatrzymała się spojrzawszy z uwagą na pana O**, jakby czekała odpowiedzi, i jak zwykle porzuca je, by samotną odwidzić przyjaciółkę. W pierwszych chwilach przybycia mego do stolicy, wieśniaczka omamiona, cieszyłam się jak dziecko nowem cackiem: byłam wesoła, śmiałam się, skakałam jak dawniej; lecz pomału...

— Cacko znudziło!

— Bom nie dziecko już. Panie! ty mnie rozumiesz!... gdzie mąż mój?... dnie nocy przepędza? darmo pytam, darmo błagam; milczy! spogląda na mnie czasem jak dawniej, ale milczenie to jego spada kamieniem na serce moje, cały dzień go niewidziałam... I pan!... i przyjaciel niema odpowiedzi dla mnie?...

— Odpowiedzieć łatwiej niżeli pocieszyć.....

— Oh nie! on mnie kocha jak dawniej, ja znam go... rozumiem jego spojrzenia... dla czegoż mówisz pan o potrzebie pociechy!... on cierpi! ale co cierpi? co? jaż niemam tego wiedzieć?...

— Miałażbyś pani być zazdrośną?

— Zle mnie pan znasz!... on mnie jednę kocha, i żadna inna....

— Czy tylko miłość do kobiety jest namiętnością? Są inne, okropniejsze, które pomału zdołają wszelkie dawne najgłębiej wkorzenione zniszczyć uczucia....

— Panie zlituj się! mów wyraźniej!...

— Pani! M*! pozwól niech cię tak nazwie szczery i prawdziwy twój przyjaciel... smutnyto przyjaciela obowiązek; ale świętą prawdę powiedzieć, oczy otworzyć póki czas.... Tak jest piękna M*, przyjaciółko! jest namiętność straszna, która boję się by jego nie pochłonęła... a osobliwie nie zniszczyła twoje tak drogie dla mnie szczęście... twój spokój, który życiembym okupił mojem... ta namiętność jest gra!...

— Gra! tegom się zawsze obawiała... i dla tego rodzice moi tak przeciwni byli... on mi przysiągł że nigdy grać nie będzie...

— A gra przecie!...

— O ja nieszczęśliwa! i przycisnęła białe dłonie do oczu z których gwałtem wstrzymywane dobyły się łzy.

— Gra jest grób wszelkiego czucia! gra zabija w duszy człowieka wszelką szlachetność!...

— On nie przestanie być szlachetnym!...

— Gracz każdy najprzód oszukany, w końcu sam....

— On nie przestanie mnie kochać!... wszak on wie że jego miłość, to moje wszystko na ziemi... dom rodzinny który dla niego porzuciłam, zamknięty dla mnie... i ja nikogo, nikogo nie potrzebuję, tylko jego... on mnie tak kochał... taki zapał nie tak łatwo....

— On jest namiętny!... zapał mu jest właściwy... wczoraj ciebie... dzisiaj karty!...

— Przestań O**! błagam ciebie... cóż robić? jak go ratować od tej namiętności?... radź, zlituj się!...

— Rady moje, a szczere były bóg widzi, odrzucił ze wzgardą; jeżeli mu ta miłość którą ty go M* otaczasz nie stała się bóstwem opiekuńczem, cóż zimne rady przyjaciela pomogą?... Ciebie pani ratować potrzeba! Ciebie ratować to jest zadanie moje!...

— Mnie bez niego to daremnie!...

— Słuchaj pani! za grą postępuje krok w krok lichwa... ja wiem że ma długi...

— A ja nieszczęśliwa przyjmuje od niego dary, któremi mnie obsypuje... powiadał że odebrał dług jakiś dawny, i wczoraj jeszcze dał mi pierścień... i czułemi słowy...

— Dary miały zastępować uczucie!...

— Nie wierzę! nie chcę wierzyć! on mnie kocha!...

— Przysięgał a gra!...

— Prawda, okropna prawda!...

— Kredyt jego upaść musi, a jak lichwa przestanie mu dostarczać pieniędzy do gry?... co będzie robił? co z tobą pani stanie się?... Ja przyszedłem dziś do pani, i musiałem to powiedzieć, bo wiem że się zgrał, wiem że jutro wypłata długu lichwiarskiego....

— Przedam wszystko...

— To nie wystarczy....

— Błagać będę o poczekanie....

— Lichwiarza?... a gdyby i poczekał!... jak przegra wszystko co pani posiadasz?...

— To przestanie może w tenczas!... a ja chętnie porzucę miasto... służyć, pracować dla niego, to będzie roskosz moja!...

— Gracz nie przestaje nigdy... w końcu przegra jeden ostatni najdroższy skarb swój... przegra ciebie pani!...

— O**! żartować w takim razie nie godzi się...

— Bodajby to był żart! ale znam cię pani! znam cię dobra M*!... tybyś dla niego poświęciła się, gdyby zażądał tego, a dawnym do ciebie przemówił głosem!... Czy mniemasz pani że w tak zepsutem miejscu jak każda jest stolica, mąż pani nie znajdzie takich którzy mu tę myśl poddadzą: będzie z nią walczył zapewne, ale w końcu gnany namiętnością nową ulegnie!... Czy mniemasz pani że ten młokos w ciemnym paletocie, który cię ściga od niejakiego czasu po spacerach, teatrach, sklepach!...

— Ten! z lekkim rumieńcem wyrzekła; z nasz go!...

— To kuzyn mojego przyjaciela, sławny z bogactw, ale sławniejszy z rospusty; zdybał mię raz u swego krewnego, ale odkąd łażąc tędy postrzegł mnie wchodzącego do tego domu, zdybał na przechadzce z panią... mierzy mnie za każdem zdybaniem wściekłym wzrokiem zazdrości!...

— Zazdrości!... odrzekła z wyrazem podziwienia nie bardzo pochlebnego dla O**...

— Tacy ludzie nie wierzą w przyjaźni czyste uczucie... nic dla nich świętego... wiem że się już poznał z mężem twoim pani!...

— Nie bój się pan o mnie! grób pierwej!...

— Grób tobie M*? nie!... a cożby twój stary przyjaciel zrobił bez ciebie, która jesteś jego jedyną pociechą na świecie, jedynem zajęciem!... Prędzej on!... znam go, pełen nieposkromionych namiętności; w chwili rospaczy!...

— Boże mój! boże! coż ja zawiniłam... ja bez niego żyć nie będę... O**! pamiętaj słowa moje... ja jego nie przeżyję... jeżeli to prawda że ci droga jestem, ratuj go!...

— Nie rospaczaj pani!... i pozwól niech skończę; by cię ratować przyszedłem; znasz moją przyjaźń i bezinteresowność... oto są pieniądze; ale na boga, na przyjaźń moją zaklinam cię pani, nie mów mu ani słowa o tem, bo inaczej nie mógłbym być ci przydatnym; fałszywą dumą wiedziony, mógłby pomoc moją odrzucić: jutro zapłać sama wexel, ale pieniędzy nie oddawaj w ręce; najważniejsza rzecz by się pozbyć długu lichwiarskiego... potym... może... kto wie! ja mam myśl jedną... może go oddalimy na czas jaki, dając zatrudnienie... jednem słowem, miej pani zupełną ufność we mnie; ale jemu ani słowa!... o pieniędzach powiedz pani żeś co przedała, lub że dostałaś od familii... wszakże przecie ta familia jakkolwiek zagniewana odda kiedyś zatrzymywany dotąd posag pani... ja nie jestem bogaty, ale co mam... i mniejsza o pieniądze... życie moje nawet na twe usługi...

— Słów mi brakuje!... O**! przyjacielu!... nigdy ten dzień nie wyjdzie z pamięci mojej; ale powiedz jaki środek zamyślasz by go wyratować....

— Czy nie chciał wyraźniej wytłumaczyć to co mu samemu jasnem jeszcze nie było, i co miało być dopiero wynikłością przyszłych zdarzeń, czy może głos jakiś i stuknienie, które przez ciszę wieczorną usłyszeć się dało, a zdawało się z przeciwległego pochodzić domu, przynaglały go do pospiechu; dosyć że spieszniej niż może myślał, wyrzekłszy na prędce »poźniej pani opowiem, bądź spokojna!« pożegnał piękną M**.

— Pamiętaj O** słowa moje! zawołała za odchodzącym... Ja go nie przeżyję!...

O** idąc po schodach mruczał sam do siebie: »to mnie diable kosztuje; włażę w coraz nowe wydatki... ale ona moją być musi!... taki szalony zapaleniec!... utopi się albo zastrzeli!... a ona, młoda, i kobieta przeżyje go oczewiście... i będzie moją!... Czegoż mi teraz życzeć sobie wypada... czyby wygrał, czyby przegrał?... Złoto!... piękne, rossyjskie tego Moskala złoto... i kobieta jak łania, pełna życia i temperamentu!...« *Dokończenie nastąpi.*

Nowości literackie.

Pisma Franciszka Wiktora Dmochowskiego, byłego wachmistrza w wojskach pięciu różnych mocarstw, dziś majstra krawieckiego w Przemyślu. Wydane na korzyść autora, przez Andrzeja Edwarda Koźmiana. Lwów, w drukarni Piotra Pillera 1843.

Otoż mamy i pamiętniki u nas drukowane. Autor ich nie winien, tylko może któremu z czytelników kapotę, a bogu duszę; ale wydawca podjął się całej odpowiedzialności za niego, i słusznie: bo wyciągnął rękopism z ukrycia i przeciw zdaniu wielu uznał go godnym publiczności naszej i druku. Ale nie ten tylko jest dowód zbytniego zaufania w sobie wydawcy, a lekkiego publiczności cenienia; uznał on jeszcze (zawsze nie dając dowodów) bajkę lew i świnia za dobrą, a wierszyk w dzień święta żony Marii za piękny (str. XIII.) chociaż wszystkie wiersze F. W. Dmochowskiego bez wyjątku nie zasługują na żadną uwagę, bo są gorsze nawet od Ziemiaństwa będącego, jak wszyscy wiemy, tylko kleciarstwem wierszy. Nazywają je zwykle częstochowskiemi wierszami, bo organiści smakują w nich szczególniej. Żył do niedawna Rączkowski, który miał wszystkie kieszenie wypchane takiemi wierszami. Często tam w odach do mecenasów napotykałem ów wzniosły pomysł gładko oddany:

Jesteś wielkim familiantem
Nie byłeś nigdy oszustem ni frantem, itd.

Mimo to jednak nie dała się wzruszyć obojętność moja, i skarb ten oczekuje dotychczas w ukryciu dobrodzieja, któryby na nim poznać się umiał. Niemasz podobno pod słońcem polskiem majstra krawieckiego ani czeladnika nawet, któryby nie uszył wierszy podobnych; gdybyż je zaraz drukować... panie! mielibyśmy rymów więcej niż śmiecia, chociaż one niebyłyby także czem innem. Takie bazgraniny nie mają już wartości, chyba że je kto znajdzie na starym, przez

myszy jeszcze niedogryzionym szpargale; ho! bo wtenczas, chociażby nie zalecały się treścią, chociażby były niezgrabną paplaniną jakiego pijanego i nieociosanego klechy z pietnastego wieku, będą poszukiwane i wysoko cenione; dla czego? bo wielcy ludzie są często małemi dziećmi, potrzebującemi cacek do swojej zabawki, koników ze smoczemi skrzydłami i kruków białych. Jeżeli w wieku dwudziestym trzecim znajdą się jeszcze uczeni nudziarze tacy jak są niezawodnie w dziewietnastym, to do najciekawszych zabytków z czasów naszych policzą zapewne te rękopisma, które nie mogąc znaleść dzisiaj nakładców i znawców, cudownym prawie sposobem uchowają się tu i owdzie przed zgubą, jaką im grożą codziennie placki wielkanocne, praźnikowe kołacze itd. W takim razie wydanie pism Dmochowskiego było zarznięciem tego dusznego bydlęcia, gdyż odjęło mu przez upowszechnienie życie i wziętość, jakie w najszczęśliwszym wypadku jedna rzadkość tylko mogła mu zjednać. A tak na umysłowe dziecko tęgiego rębajły z czasów wojennych, znalazł się w czasach pokoju tęższy jeszcze rębajło: machnął i zabił. Wydawca miał oczywiście pisma te za dobre tak dalece, że lęka się nawet aby je za jego własne nie wzięto; (str. XII.) jak gdyby nikt inny nie mógł już dobrze napisać, a wszystko zalecające się poprawnością stylu i treścią ściągało podejrzenie że jest przez wydawcę. Może to tylko jego są pseudominy wszystkie te po dziełach dobrych wymienione nazwiska, które my za rzeczywiste autorów bierzemy? Nieto, powiada wydawca, lecz najprzód ten pamiętnik niemiałby żadnej wartości gdyby był zmyślony, gdyby już za nim niestał jego autor. (str. XII). A cożto znowu za logika szczególna? w którejżeto wszechnicy tak uczono? Możnaby się o powrót kosztów prawnie upomnieć. Chciej mi pan wierzyć, że każda xiążka bez wyjątku albo ma wartość własną, wewnętrzną, bez wzgtędu na okoliczności, albo jej niema zupełnie. I jakżeto? głupstwo ma być rozumnem, niepotrzebność potrzebną, dla tego tylko, że są F. W. Dmochowskiego? Najsławniejsze imiona znanych i zasłużonych pisarzy nie posiadają tego przywileju. Uprzedzają one wprawdzie dobrze czytelników dla siebie, lecz nie stanowią ich zdania; dopiero xiążka sama mówi czem jest i co warta bez najmniejszego względu na nie; bo i Homerowi zdarza się drzymać, i okoliczności, ujmujące xiążce wartości, są jej wadami; jakoż nie policzymy za żadną zasługę, że ci niepiszą co nie umieją; niechby się byli uczyli. Lecz nasz wydawca żyje podobno w tych błogich wiekach damonowych, kiedy na tronie siedział wiersz trzynastozgłoskowy, jakgdyby długi pukiel fryzowanej akademickiej peruki; całem zadaniem estetyki była gładkość, połączystość, dobór wyrazów i rymu, a imię autora dzidą, puklerzem. Lecz to już wszystko minęło. Teraz już widzą że imię razem z nazwiskiem nie może mieć więcej rozumu od głowy i od człowieka.

Ale może tylko wykręcamy opacznie znaczenie słów wydawcy? może on nie to chciał powiedzieć że pamiętniki D. dla tego są dobre, bo znalazły godnych siebie: sławnego autora, i równie sławnego wydawcę? Może sądzi przeciwnie, że to co niemiałoby wartości gdyby pisane było przez człowieka ukształconego, oddanego zawodowi pisarskiemu, ma ją w tem właśnie, że autor który chociaż, mówiąc słowami wydawcy, nie urodził się krawcem, (a któż się rodzi z igłą krawiecką?) jednakże jako prosty wachmistrz bez nauk i usposobienia nie mógł przedmiotu swojego ani całkowicie ogarnąć, ani sprawiedliwie i wyczerpanie pojąć i oddać. Postawmy tylko tę niedorzeczność za zasadę sądu, a natychmiast jak gdyby rószczką czarodziejską dotknięte, najgorsze xiążki ile ich jest tylko, staną się dobremi xiążkami. Wszakże ich autorom tyle tylko można zarzucić, że obrali przedmiot wyższy nad ich usposobienie i zdolności, że pisali o tem czego nie rozumieli i nie mogli rozumieć. Wtenczas niektórych z naszych filozofów i psychologów i innych jeszcze pismarzy wypadnie umieścić w jednej kategorii z F. W. Dmochowskim. Coż w tym nareszcie tak bardzo dziwnego, że wojak plecie zwyczajnie o wojaczce; nato nie trzeba nawet inspiracii. Gdyby był odmalował życie klasztorne, intrygi dworskie, dopieroby go można wziąść za opętanego; gdyby rolnik bez żadnego przygotowania i nauk napisał o astronomii, dopieroby utworzył dzieło sławne niewiadomością i niezdatnością swojego autora. Aby osądzić czy pamiętniki o których mowa mają wartość same przez siebie i zasługują przeto na upowszechnienie, potrzeba je rozebrać wchodząc w szczegóły i przymierzając do ogólnego przeznaczenia pamiętników, co zaraz uczynię; i różne w tem różnych mogą być zdania. Ale szanowny wydawca oświadcza zgóry, że im nadaje wartość tylko osoba autora, i w tem, jak okazaliśmy, myli się grubo. Już tu zdań różnych trudno wyglądać, bo zdrowy rozsądek może w szczegółach pobłądzić, lecz pozna się zawsze na mylnej zasadzie ogólnej. Że pamiętnik Dmochowskiego historycznej niema ważności, przyzna mi każdy, zważywszy jak podejrzanem jest świadectwo człowieka, któremu już dla samego braku przygotowawczych usposobień i przez niskie stanowisko jakie zajmował, musiało nie jedno wydać się inaczej niż było istotnie; który zatem pomimo najszczerszych chęci cudze i własne przywidzenia i baśnie za najszczerszą prawdę wydaje, i gotów nawet na nią przysięgać, bo niechce on czytelnika oszukiwać, ale sam jest oszukany przez nieudolność i łatwowierność swoją. Przyznaje sam wydawca iż autor myli się nieraz w nazwiskach i datach, w oznaczeniu zdarzeniom czasu i miejsca. Nareszcie opisując czasy niedawne, a dla osobliwości swojej i gadatliwości wieku drobiazgowo już rozebrane i opowiedziane, nie przytacza ani jednego ciekawego, dziejowego szczegółu, któryby nie był wiadomy dokładniej zkądinąd. Jakaż więc może być jeszcze wartość pamiętnika, który za źródło historyczne w żaden sposób uchodzić nie może? Wartość artystyczna. Jeżeli na tle dziejowem obok znajomych zajść współczesnych daje poznawać charaktery ludzi, zwyczaje wieku, ducha wypadków, miejsc obrazowość. Zadanie to jest jeszcze trudniejsze i więcej wymagające usposobień nabytych i przyrodzonych zdolności. Aby odmalować wiek którykolwiek i jego ludzi, nie dosyć jest być samemu świadkiem niektórych wypadków, potrzeba zważyć ogół wydarzeń w ich całości, znać i rozumieć historię, potrzeba sobie samemu z tego poglądu pojęcie wieku wyrobić, a dla uczynienia go wyrazistszem i dla większego widzów zajęcia, dopuścić się świadomie i umiejętnie umniczego zmyślenia: to jest, stawiać ludzi z ich czasowemi i miejscowemi wyobrażeniami, pojęciami i uczuciami w stosunkach, trudnościach i zawikłaniach zmyślonych ale podobnych; służących do rozwinienia w całym blasku, w całej okazałości i prawdzie ich dusz i charakterów. Nie znachodzimy tego w pamiętnikach Dmochowskiego, i nierozsądnie byłoby nawet wymagać większych skutków jak przyczyna; a przecież wydawca nazywa je: małym poematem żołnierskim, to znowu: prawdziwą powieścią. Istotnie jest w nich i prawda i zmyślenie, ale bez historycznej i artystycznej wartości. Prawda codzienna i nie ciekawa, a zmyślenie nie umnicze, nieumyślne, tylko przypad-

kowe, z niewiadowości. Skądże więc urosło zdanie, że ta miskulancia na druk zasługuje? Czy dla dobroczynnego uczynku? Ależ logika jest i dobrodziejom potrzebna. Łatwa to filantropia, wygodne miłosierdzie ceną kieszeni i wiary publicznej. Sumienniejszą byłaby składka prosta, niezawodząca czytającej publiczności, bo oszczędziłaby wydatków na oczernienie papieru zmarnowanych, zmarnowanych wyraźnie. To też ten papier mści się, i za oczernienie oczernia. Dziwnyto rodzaj religijności okpiwać bogatszych aby ubogiego zapomódz, na wzór tego uwielbianego szewca, który kradł skórę, aby ubogim robić obuwie.

Niemasz żadnej, rozsądnej ani pobożnej przyczyny na popełnienie niedorzeczności; a ta że gdzieś za granicą ją popełniają, jest najmniej rozsądną.

Leszek Dunin Borkowski.

Przegląd naukowy przez Skimborowicza i Dębowskiego w Warszawie wydawany zawiera w numerach ostatnich które nas doszły (22, 23, 24,) niektóre wyborne artykuły. Zajmują przedewszystkiem poezie Berwińskiego. Młody ten pisarz pełen ognia i wyższych pomysłów zwrócił już od dawna uwagę znawców na siebie, i w tych oto mniejszych pismach jaśnieje jego talent niepospolity. Znajdują się tu także wyśmienite artykuły prozą. W ogólności Przegląd w nowszych czasach, stara się zgromadzić w sobie według możności artykuły najzdolniejszych ze wszystkich prowincij pisarzów, co mu się w znacznej części udaje. Czasem tylko jaki uczony doktor sypnie tu owdzie etymologiczną erudycią i opartemi na niej domysłami, które na nieobałamuconych umysłach robią takie wrażenie jak piasek o szkło potarty. Godzi się to wyznać otwarcie bez względu na dobrą chęć pisarza. Co się tyczy krytyki, tego, jakby z napisu sądzić można, głównego celu przeglądu; takowa jest za słaba w tem pismie. Sprawozdawca zdaje się trzymać zasady: zachęcania; a treść sprawozdania jego jest najczęściej taka że nic niepowiedział. Jeżeli xiążka jest ladajaka, to najlepiejby donieść o niej w rubryce bibliografii. Do dobrych artykułów Przeglądu należy kilka legendo-przysłów narodowych. Jako przykład prościuchnego i pełnego wdzięku ich opowiadania przytaczamy następujące, umieszczone na stronicy 187.

Nie straszna siekiera bez toporzyska.

„Biada nam biada."

Zawołały młode sosenki, rosnące z brzegu lasa przy drodze.

„Przepadłyśmy wszystkie do szczętu! żadnej się już z nas nie ostać!... Widzicie jak ogromne wozy, naładowane siekierami w las wjeżdżają!... Biada nam biada!... przyszła już na nas ostatnia godzina!..."

— „Cicho."

Rzekła wiekowa sosna, co już niejednę burzę przetrwała zwycięzko.

„Nie wywołujcie rozpaczą nieszczęścia! nie trwożcie drugich daremnie, przypatrzcie się raczej zbliska i rozważnie grożącemu niebezpieczeństwu.... Sąż tam toporzyska przy siekierach, czy same tylko żelazo, jak wyszło z kowalskich kleszczy z pod młota?

— „Nie widać toporzyska; same żelazo tylko..."

— „Kiedy tak, nie lękajcie się niczego: żelazo bez drzewa, nic drzewu nie poradzi, niech się tylko żadna z was na toporzysko nie da, a siekiery jak w las wjechały, wyjadą z niego bez naszej szkody! nie straszna siekiera bez toporzyska!..."

A. B

TEATR.

Dnia 27go września przedstawiono melodramat w siedmiu oddziałach, przełożony z francuskiego Wiktora *Ducange* przez Józefa Damsego pod nazwiskiem: Szesnaście lat temu. Sztuka ta do tych należy w których autorom szczególniej chodzi tylko o intrygę; zwracają na nią całą swoją uwagę, a zaniedbują obrobienie. Chcąc zatem powiedzieć czego chciał w niej autor, nie można wytknąć ani głównego, całość ożywiającego pomysłu, ani ubocznych dążności moralnych; potrzeba tylko intrygę powtórzyć. A że to i dużo wymagałoby gadaniny i jak jest ciekawem dla widzów, tak mało ciekawem dla czytelnika, a wcale nie nauczającem, przeto poprzestanę na tem ogólnem postrzeżeniu, z powodu błędów tej sztuki nasuwającem się, a przez autorów dramatycznych za nadto często prześlepionych: że zbytnia troskliwość o jedną część dramatu, chociażby istotną jego piękność stanowiącą, z poświęceniem uwagi dla części innych, razić będzie zawsze jako wada; gdyż dramat każdy jest organizmem, wymagającem w częściach swoich odpowiedniej zgodności i stosownej harmonii. Coż nada najpiękniejsza głowa na ciele znędzniałem i pokurczonem. Są wprawdzie zręczna intryga i treść czyli działanie w sztuce wielkiemi zaletami, budzą one ciekawość i utrzymują zajęcie; lecz same przez się niestanowią dobrego dramatu, owszem dowodzą brak dramatycznego talentu w autorze kiedy się tego chwytał, co można napatrzywszy się nabyć i naśladować, a tego nieokazał co trzeba samemu w sobie wyrobić, i co właściwie sztukę do wyższego rzędu podnosi. — Coż powiem o grze aktorów? Dobry aktor, aktor artysta tylko dobrą sztukę grać może z upodobaniem, z prawdziwem przejęciem i natchnieniem. Potrzebuje i aktor iluzii aby zapomniał że odbywa pańszczyznę. Nie dosyć na to własnej jest ochoty; i sztuka jeszcze przyczynić się powinna. Jak koń dzielny dobrego jeźdca poczuwa, i nabiera pod niem energii i wdzięku, tak też i zdatny aktor poczuwa sztukę. Ztąd wypływa, jakkolwiek może dziwnem wyda się to zdanie, że im lichszą sztuką, im słabszemi miejscami aktor który przejąć się umie, tym jest niższego rzędu aktorem i mniejsze posiada ukształcenie, kiedy lada czem się zadowolni. O grze zatem pana Nowakowskiego dzisiaj nie wspomnę; ale pani Aszpergerowa grała bardzo dobrze.

L. D-B.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.